TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 3. *Chicago, Ills., 15 Lipca, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Chciała dłużej jeszcze mówić chorążyna, gdy się drzwi otworzyły i bawiący w ubocznej izbie mężczyzni ze zwykłemi przy wejściu ceremoniami wchodzić zaczęli, aby się z damami połączyć. Z kolei winszowali podkomorzynie ci, którzy tego jeszcze nie uskutecznili, a każden zdawał się pospieszać z oracyą, ażeby mógł co prędzej zwrócić wzrok ciekawy na Maryą i pełnym poważania powitać ją ukłonem. Młodzi szczególniej, skupieni w pewnem oddaleniu, różne czynili dostrzeżenia nad całą jej postawą i wróżby względem dalszego jej przeznaczenia; słowem, Marya była głównym przedmiotem uwagi i rozmowy wszystkich. Wszyscy ubiegali się o sposobność rozmawiania z nią, i starsi nawet z większem dla niej byli poważaniem, jak dla młodych niewiast zwykli byli okazywać.

Wkrótce po tej uroczystości, wśród której Marya tak mocno wszystkich zajęła, nastąpił dzień na odjazd jej do dworu przeznaczony.

Już od dwóch dni panował smutek w całym domu, bo wszyscy ludzie służący żałowali serdecznie, że swoją ukochaną panienkę postradają, która, to nieraz wyprosiła niejednego od wyznaczonej nań kary, to dawała zasiłek w potrzebie i pielęgnowała w chorobie, a każdemu się corocznie w dzień swoich imienin pięknym podarkiem wywięzywała. Płakała potajemnie podkomorzyna, że kochanej Marynki dłużej przy sobie mieć nie będzie; i wtedy nawet, gdy się unosiła radością z jej wywyższenia, żal się skryty do tego wesela łączył, tak, że nie można było wiedzieć, któremu z tych uczuć przypisać łzy, które jej oczy przepełniały. I pan podkomorzy, lubo nie łatwo czem wzruszyć się dający, mruczał ciągle przez dwa dni, chodził posępny po pokoju i raz wraz w milczeniu na Maryę spoglądał, a gdy wyszła z izby, ustawicznie pytał gdzieby była i czemu nie powraca, gdyż i tak niedługo już z nami zabawi.

Sama Marya, lubo z chęcią szła do królewskiego dworu, z powodu pięknych marzeń o świetnej przyszłości, które jej wyobraźnia przed oczy stawiała, nie mogła bez zasmucenia wspomnieć na chwilę rozstania się z tymi, z którymi najswobodniejszy wiek swój przeżyła. W dzień samego odjazdu wstała rano, przepędziwszy noc prawie bezsennie na rozmyślaniu o tem, jaki będzie jej pierwszy wstęp na wielki świat, jakie przyjęcie od królowej? a nadewszystko jakie czeka ją szczęście, gdy będzie mogła oglądać codziennie uwielbianego przez siebie bohatera chrześciaństwa, który męztwem i cnotą dobił się korony; a przy nim tylu walecznych, którzy pod jego przewodem w obec całej Europy świetne zbierali wawrzyny.

Gdy wyjrzała za okno swej samotnej izdebki, smutek ogarnął jej serce. Jakże to wszystko było zimne i ponure w całem przyrodzeniu! Mgła gęsta zasłaniała oddalone chaty wieśniacze, do których w pogodnej porze nieraz z pociechą i ulgą wchodziła. Gaik brzozowy na lewo, który się stykał z ogrodem, był cały z liści ogołocony, a te gałązki, niegdy świeżo umajone, pokrył dzisiaj szron biały, który zimę i odrętwienie całej natury zwiastował. Pusta była łąka pod gajem, z daleka tylko wił się po dolinie dym z tlącego się jeszcze ogniska, od którego pastuszek wieczorem był odszedł. Zamiast wesołego skowronka i szczebiotliwej jaskółki, złowróżbe tylko kruki i wrony bujały po powietrzu i osiadały na dachu zamkowym. Ten widok ogołoconej z wszelkich powabów okolicy, to jej osierocenie z tego wszystkiego, co jej życie nadawało, przykre wrażenie czyniło na umyśle Maryi.

— Ach! czy ja z tej cichej zagrody, gdzie mnie wszystko kocha, co tylko mnie otacza, nie przejdę w świat taki, gdzie wszystko obcem i zimnem dla mnie będzie! Czy porzuciwszy tutaj niewinne pociechy i codzień doznawane dowody przywiązania, nie wejdę pomiędzy takich, którzy radości ani smutku mego dzielić nie potrafią. Ach! czy tam większą jak tutaj będę sierotą?

Tak rozmyślała Marya, i te wyrazy wewnętrznego głosu zdawały się przykro odbijać o jej uszy. „Sierotą!" powtórzyła głośno składając smutnie ręce, i zwolna od okna zwróciła wejrzenie na portret ojca, który nad jej łóżkiem wisiał. Zadrżała spojrzawszy na niego; zdawało jej się, że jakiś niezwyczajny wyraz na twarzy jego spostrzega; nie śmiała odwrócić oczu, a z tęsknem uczuciem na malowidło patrzała. Nakoniec natchniona myślą szczęśliwą, która ulgę jej strapieniu przynieść miała, wybiegła szybko z pokoju i pospieszyła do kaplicy zamkowej, do której się domownicy na mszę ranną zbierać zaczynali, ażeby męztwa i wytrwałości dla siebie uprosić od Boga, i za nieodżałowanego ojca błagalne ku niemu nieść modły.

Dzienne światło, przedzierające się przez górne okno nad ołtarzem umieszczone, słabo oświecało jeszcze kaplicę, i świece na ołtarzu palące się, rzucały drżące światło na przyległe przedmioty. Cichość, która panowała w tym przybytku pobożności, przerywały tylko modły w pokorze przez kilku domowników szeptane. Przybycie Maryi przerwało na chwilę ich uwagę, wzbudziło kilka westchnień w żałujących ją służących, i nowy dało przedmiot ich modłom: pomyślność w podróży i w dalszem jej powodzeniu. Marya uklękła przed ołtarzem i w żarliwem uniesieniu myśli całej do Boga nie dostrzegła podkomorzego z żoną, którzy wspólnie z nią o jej szczęśliwość modlić się zaczęli. Natychmiast po ich przybyciu wyszedł kapelan, i odprawiwszy mszę czytaną, obrócił się przy ołtarzu i odmówił w głos modlitwę za podróżnych, pobłogosławił Maryą i jej ciotkę i obiedwie wodą święconą pokropił.

Po ułatwieniu wszelkich przygotowań do

odjazdu nastąpiła chwila opuszczenia domu, który dla Maryi rodzicielskiego miejsce zastąpił. Podkomorzy był jeszcze zajęty dokładnem oglądaniem sześciokonnego zaprzęgu, powozu i barwy służących na ten uroczysty odjazd świeżo sprawionej, a wydawszy ostatnie rozporządzenia, wrócił do pokojów i z wyraźnym żalem oznajmił, że wszystko gotowem jest do odjazdu. Rzewnie płakała Marya, gdy jej się z nim żegnać przyszło, i on nie mógł utaić łez kilku, które niezręcznie ręką chciał otrzeć. Od niego przeszła do ludzi służących, każdego hojnie obdarowała i cała rozżalona z ciotką do pojazdu wsiadła.

ROZDZIAŁ IV.

Tam sama muszę siedzieć pomiędzy obcemi,
Losami oddzielona od rodzinnej ziemi,
Biadaż mi żyć daleko od rodzinnej strzechy!
Nikt łzom nie wyrozumie, nikt nie da pociechy.
Często tam, prawda, czynią jakby mię kochali,
Lecz jestże to już miłość?....

Brodziński.

Z bijącem sercem zbliżała się nazajutrz Marya do żółkiewskiego zamku. Zbladła i drżenie przejęło ją całą, gdy ujrzała Haraj, ogród królewski na górze założony, który od tej strony Lwowa widok samego zamku zasłania. Wcześnie był naznaczony dzień i godzina stawienia się Maryi u dworu; dla tego jechała już od Lwowa w stroju przyzwoitym do okazania się przed królową. Pomimo nalegania ciotki nie chciała przystać na zdjęcie wszelkich znaków żałoby, i dla tego ubraną była w czarną aksamitną suknię, i ani pereł, ani dyamentów nie użyła; włosy tylko białą muślinową przepaską ozdobiła.

Już wjeżdżał pojazd na dolinę, w której się wznosił zamek królewski, już widać było w otaczających go domach i w dziedzińcu ruch dworzan i panów, który blizkość mieszkania królewskiego oznaczał. Pojazdy wjeżdżające jedne za drugiemi pod sklepioną bramę, która na dziedziniec zamkowy wychodziła, oznaczały, iż właśnie była godzina prezentacyi i przyjmowania na pokojach królowej. Wjechał za niemi i pojazd podkomorzyny, a przejeżdżając obok uszykowanych na dziedzińcu innych pojazdów, wytrzymać musiał szyderską krytykę dworskich woźniców, z paradnej zaprzęgi wiejskiego pana szydzących.

Mondor spostrzegł z okna górnej sali niecierpliwie przez siebie oczekiwanych gości, pospieszył na dół naprzeciw nim, i z wyrazem najtroskliwszej atencyi przewodniczył im w przejściu przez przedpokoje, gdzie hajducy i Węgrzyni uszykowani byli, a odźwierni, poruszeniem do machin podobni, drzwi szeroko przed nimi otwierali. Przeszli przez salę paziów urodą i strojem znamienitych, którzy wszyscy przy zachowaniu powierzchowności uszanowania pełnej, ukradkiem wzrok ciekawy na struchlałą Maryę rzucali. W następującej sali oznajmił Mondor przybycie oczekiwanych dam szambelanowi służbę czyniącemu, który pospieszył z tem doniesieniem do Marszałka dworu, i wkrótce je do sali wspólnego zebrania wprowadził.

Z nieśmiałością postępowała Marya obok podkomorzyny świadomszej zwyczajów i etykiety dworskiej, i straciwszy zwykłą sobie żywość i odwagę, nieporównanym wdziękiem skromności uprzejme i pobłażające wejrzenie obecnych sobie jednała. Znajome damy i panowie zbliżyli się do podkomorzyny i różnemi mniej więcej szczeremi oświadczeniami i powinszowania i życzenia swoje składali. Obecne damy i panny dworskie przebiegały śledczem okiem kibić i ubiór Maryi, i po cichu rozmaite nad niemi czyniły dostrzeżenia; a jeżeli która mniej łaskawe zdanie oświadczyć chciała, mimowolnie odstąpiła od zamiaru, skoro tylko wejrzenie Maryi pełne anielskiej słodyczy i skromności spotykała.

Po niejakim czasie oczekiwania otworzyły się podwoje, dwaj szambelanowie oznajmili przybycie królowej; za nimi postępował marszałek dworu na jego okazanie się uszykowali się panowie i damy koleją starszeństwa i według zwyczaju u dworu przyjętego. Wkrótce weszła królowa, otoczona damami dworskiemi i dworzanami; za nią postępowali w pewnem oddaleniu margrabiowie d'Arquain i de Bethune. Uprzejmie powitała królowa zgromadzenie, a szczególniej pierwszych senatorów, którzy byli przyjechali do Żółkwi na wezwanie. Marszałek dworu chciał przedstawiać osoby obecne, lecz królowa dała mu znak iż dobrze jej są znajomi znakomitsi panowie, którzy na czele zgromadzenia stali, i do nich obracając mowę, rzekła:

Niezadługo, panowie moi, cieszyć się będziemy oglądaniem N. Pana, a małżonka mego; ostatnie wiadomości od wojska odebrane zwiastują nam rychły powrot jego, i mam nadzieję, że święta Bożego Narodzenia razem z królem przepędzimy. Kazałam was prosić, ażebyście chcieli tutaj się stawić, a to dla tego że wiem, iż każdy będzie chciał pospieszyć powitać króla i braci swoich z tak chlubnej wyprawy powracających, i uświetnić swoją bytnością tryumfalny ich powrót do ojczyzny. Dwór wyjeżdża do Krakowa w pierwszych dniach miesiąca Grudnia, ażeby wcześnie zrobić przygotowanie na uroczyste przyjęcie króla i zwycięzkiego wojska; zapraszam was tedy, panowie moi, do tej starożytnej stolicy waszej, ażebyście i radość moję dzielić i pociechy królowi dodać mogli.

Odpowiedział na to jeden z wojewodów obecnych oświadczając tak radość narodu z tej pocieszającej wiadomości, jako i gotowość wszystkich senatorów i całego obywatelstwa do wyjechania naprzeciw królowi.

Od nich przeszła królowa do innych osób, które jej już marszałek kolejno przedstawiał, rozmawiając z niemi mniej więcej długo i uprzejmie, stósownie do znaczenia osoby. Gdy się zbliżyła do podkomorzyny i nazwisko Maryi z ust marszałka usłyszała, lekki ironiczny uśmiech usiadł na jej ustach; spojrzała ciekawie na Maryą, a potem zlekka obróciła oczy ku magrabiemu d'Arquain i bardzo nieznacznie głową kiwnęła. Następnie, obracając mowę do podkomorzyny, rzekła:

— Dziękuję Waszmość Pani, że mi chcesz powierzyć synowicę swoją; możesz być pewną moich względów i łaski dla niej; ceniliśmy z królem bardzo wysoko nieodżałowanego jej ojca, i mamy nawet obowiązek opiekowania się jedynem jego dzieckiem.

Podczas tej przemowy, na którą podkomorzyna i Marya tylko pełnym poszanowania ukłonem odpowiedziały, zbliżyli się ku nim ojciec i szwagier królowej, i nie spuszczając oka z Maryi, pocichu udzielali sobie uwag nad jej wdziękami. Dziwnie było widzieć tych dwóch panów francuskich w trzewikach, kuso ubranych, z naramnikami ze wstążek różnego koloru, perukach z dużemi kapeluszami z strusiem piórem pod pachą, towarzyszących ciągle królowej, uwijających się najśmielej po pokojach krówskich, na dworze polskim, wśród znakomitych Polaków, których postawa i strój poważny poszanowanie wzbudzały, a obcym przychodniom postać bawić ich mających sztukmistrzów nadawały. Widać było w królowej chęć udzielenia uwag swoich tym dwom panom; lecz powaga, którą zachować musiała, nie dozwoliła jej tego. Wkrótce obszedłszy rząd przedstawionych osób, wróciła w tem samem towarzystwie do własnych pokojów, a margrabia de Bethune przy wyjściu raz jeszcze na Marya się obejrzał.

Minęła krótka chwila przedstawienia, która tyle obawy i nadziei w Maryi wzbudziła. Wszelkie jej oczekiwania nie zostały ziszczone; lękała się wprzódy pomieszania w rozmowie z królową, a do tej rozmowy żadnej nie znalazła sposobności. Spodziewała się doznać tej łaskawej dobroci, która się na całej twarzy świadczyć ją umiejącej osoby maluje; rozumiała, że znajdzie w królowej ten obraz dobrotliwej matki, któryby dla niej sieroty tak wielką był pociechą; lecz uprzejmy uśmiech królowej nie miał wyrazu szczerości i słodyczy, jej oświadczenie łaski i przychylności lubo tak wiele obiecujące, było zimne i nie uczuciem przyjaznem natchnione. W milczeniu szła Marya za tłumem wychodzących z pokojów królewskich. Wszystko co widziała, było dla niej nowością; mogło być ciekawem nawet, ale żadnego miłego wrażenia w umyśle nie zostawiało. Gdy wyszła z zamku, gdy z ciotką wyjechała z przybytków królewskich, było jej jak po śnie łudzącym, który wielą błyskotkami na chwilę uśpioną głowę bawił, a w pamięci nawet nie został.

Wkrótce po powrocie swoim do mieszkania, nawiedził Podkomorzynę Mondor, i oświadczając się z gotowością służenia w każdym razie, dał radę: iż wypada niezwłocznie oddać wizytę Wielkiej ochmistrzyni panien dworskich, którą on, jako współrodaczkę swoją, uprzedził był o rzadkich przymiotach Maryi.

Znużona i zniechęcona pierwszą swoją bytnością u dworu, wymawiała się długo Marya od usłuchania tej rady; lecz Mondor tak mocno przekonywał o potrzebie wykonania tego, co za obowiązek poczytać należało i ciotka tak bardzo przy tem obstawała, iż się wymówić nie mogła. W wieczornej godzinie udały się przeto nasze damy do wielkiej ochmistrzyni dworu która większą obawę, a mniej nadziei w Maryi wzbudzała niżeli królowa.

Nie zawiodła się w tem nieprzyjemnem przeczuciu. Pani de Feud' herbe, ochmistrzyni dworska, pewne zwierzchnictwo nad nią mieć mająca, była Francuzka znamienitego rodu, przejęta dumą panom tego narodu właściwą, źle o wszystkich Polkach uprzedzona i w pełnieniu swoich obowiązków tylko dla francuzkich panien przychylna. Wcześnie uwiadomiona o powołaniu Maryi do dworu królewskiego, z niechęcią przyjęła tę wiadomość, ponieważ to wyniesienie jej do rzędu panien dworskich bez jej wpływu i rady nastąpiło. Z wyraźną niechęcią i urąganiem słuchała pochwały, które Mondor Maryi dawał; uraziła się nakoniec tem, że się podkomorzyna wprost do dworu udała, i jej pośrednictwa w przedstawieniu królowej siostrzenicy swojej, nie użyła.

Gdy podkomorzyna, za poprzedniem oznajmieniem swojej bytności, weszła do jej mieszkania, zastała ją w towarzystwie kilku dam siedzącą na kanapie i żywą rozmową zajętą. Nie raczyła wyjść naprzeciw wchodzącym, lecz unosząc się nieco z kanapy, kiwnęła zwolna głową, tak, iż strusie pióro, na wierzchu jej głowy zatknięte, miarę tego poruszenia oznaczyło, i wskazując na krzesło próżne, dała damom znak do zajęcia miejsca: poczem obróciła się do jednej z dam polskich i zapytała jej przytłumionem głosem: czyliby przybyłe panie po francuzku umiały? Otrzymawszy równie cichą odpowiedź, iż młodsza mówi tym językiem, a starsza nie, zwróciła się do Maryi i rzekła:

— Jaki jest wiek WPanny!

— Siedmnaście lat — odpowiedziała Marya z tym wyrazem dającym poznać uczucie uchybienia i szlachetność w znoszeniu onego.

— WPanna bardzo młodo na wielki świat wychodzisz — rzekła dalej ochmistrzyni.

— Wypełniam w tem rozkaz królowej — odpowiedziała Marya — a Najjaśniejsza Pani musiała osądzić, iż mam wiek przyzwoity do poświęcenia się jej usługom, kiedy mię do nich powołać raczyła.

— Ale — rzekła ochmistrzyni obracając się do obecnych dam — to piękne dziecię, wcale gładko i płynnie po francuzku mówi, jej wyrażenia są stosowne i nawet wyszukane. — A obracając się do Maryi dodała z przymuszoną słodyczą:

— Jakże się WPannie podobało u dworu?

— Zbyt krótką chwilę na nim przepędziłam, abym na to odpowiedzieć mogła — rzekła Marya spokojnie.

— Ale później, gdy dłużej z sobą będziemy — rzekła z fałszywym uśmiechem ochmistrzyni — pewna jestem, iż WPanna znajdziesz upodobanie w pożyciu dworskiem.

— Starać się będę przypodobać królowej przez ścisłe wypełnianie obowiązków moich —odpowiedziała Marya, — a jeżeli tą drogą potrafię uzyskać względy monarchini, będzie to jedyną moją pociechą po rozstaniu się z sercami kochającemi, wpośród których wzrosłam. — Przy tem obróciła się do podkomorzyny i z wyrazem wdzięczności ścisnęła jej rękę.

— Serca kochające! — rzekła ochmistrzyni. — Na tych WPannie, zwłaszcza u dworu, zbywać nie będzie; kto ma tyle powabów i uprzejmości, potrafi sobie łatwo zjednać przyjaźń i miłość tych wszystkich, co go otaczają. WPanna masz już tutaj wielkiego czciciela w Panu Mondorze; tyle mi pięknych rzerzy o niej mówił.... i widzę, że bynajmniej nie przesadził swego pochlebnego obrazu.

— Pan Mondor, — odpowiedziała spokojnie i z pewną powagą skromności, bardzo mało jest mi znany; widywałam go dawniej w domu ś. p. ojca mego, i teraz gdy smutnego dopełniał zlecenia...

Rozrzewnienie nie pozwoliło jej mówić dalej, zamilkła i spuściła oczy łzą zaszłe.

Ochmistrzyni, przypisując pomięszaniu to nagłe przerwanie mowy, spojrzała ze złośliwym uśmiechem po obecnych damach i dodała:

— Pan Mondor jest bardzo grzecznym i dobrze wychowanym człowiekiem.

Marya ochłonęła w krótce z żalu, i dostrzegając zamiaru ochmistrzyni prześladowania jej Mondorem, dała znak ciotce, iż wypadało już skończyć wizytę; powstała z nią razem, a oddając P. de Feud'herbe ukłon pożegnania rzekła:

— Czekać będę wezwania Pani względem pełnienia obowiązków służby mojej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Rozłączenie Róży z ojcem.



Adelbert siedział okuty w kajdanach smutny, w izbie oświeconej dogorywającemi na kominku głowniami; Róża klęczała u nóg jego płacząc i załamując ręce właśnie odurzona; posępną cichość przerywały tylko jej jęczenia, przerwał ją nareszcie ojciec pocieszając córkę temi słowy:

— Uspokój się kochane dziecię! i otrzyj łzy z oczu twoich. Te cierpienia zesłał na nas Bóg, całujmy rękę Jego i wtenczas gdy nas karze, w tej pewności, że to zsyła na nas, nie żeby nam dokuczył, lecz żeby coś dobrego tą ostrą drogą wyrządził. Bez Jego woli nic się stać nie może, a sami nasi nieprzyjaciele mimo swej woli pracują z woli Boga na dobro nasze; bądźmy przeto mocnymi w ufności Najwyższego Ojca. Jestem, moja córko, tego przekonania, że właśnie pod ten, jakkolwiek smutny czas, nasza szczęśliwość jest więcej jak kiedyś uzasadnioną, przedtem ufałem więcej jak należało łasce cesarza, przychylności mego księcia; a oto dziś nie są oni zdatni dać pomocy, zajęci sami walką z nieprzyjacielem. Sądziłem, że oto w tych murach i silnem ich uzbrojeniu, nikt mnie nie dosięże; a dziś widzę, że mylnem było moje zdanie, przeto odtąd ufam tylko Bogu samemu, a Ten potężny Pan będzie moją najdzielniejszą obroną!

— Nie wiele upłynie czasu, a my się będziemy musieli rozłączyć, droga córko! — rzekł po chwili, objąwszy ją lewą ręką, bo prawą łańcuchem skrępowaną i ranną, nie był zdolny władnąć.

— Ach najdroższy ojcze, nie mów o rozłączeniu, — zawołała Róża, ścisnąwszy go za szyję. Z twojego objęcia nie zdołają mnie wydrzeć; ja z tobą pójdę do więzienia i na śmierć.

— Nie, kochana Różo! Kunerych na to w żaden sposób nie pozwoli, żebyś ty mi towarzyszyć mogła; tej pociechy nie będzie mi życzył. Rozłączy nas niezawodnie; słuchajże przeto mojej rady; gdy będzie opuszczał Kunerych zamek, staraj się, żebyś uszła, inaczej możesz być pewną, że i ciebie do niewoli zabiorą, wolna możesz mi prędzej być pomocą, a przynajmniej ja będę tą myślą pocieszonym, że znalazłaś przytułek u dobrych ludzi, których między moimi poddanymi znajdziesz.

— Ten zamek i wszystko co w nim jest, jak słyszałaś, przywłaszcza sobie Kunerych; a ty odtąd jesteś biedną, uboższą od dziewcząt najbiedniejszych z pasterzy naszych; jednak nie

rozpaczaj, doczesne dobra nie są tego warte; żebyśmy z powodu ich utraty zbytecznie smucić się mieli. Oto właśnie doświadczasz ich wierności, a choćby i nie ten przypadek, to śmierć je niechybnie wydrze, a my jak nic na ten świat nie przynieśliśmy, tak też nic z sobą z niego nie weźmiemy. Znam ja inne, wyższego nierównie rodzaju skarby i klejnoty, których ani nieprzyjaciel, ani śmierć nie wydrze, a temi są: pobożność, czystość, poczciwość, pracowitość. To były ozdoby twej matki, jeżeli je sobie przyswoisz, o będziesz natenczas bardzo majętną! Wspomnij sobie na to męztwo, z jakiem twoja matka umierała; pomnąc na takowe, znoś dolę twoją niniejszą! Utul smutek twój! wiedz, że gdy mnie przy tobie nie będzie, Ojciec Najwyższy weźmie cię w swoją dzielną opiekę. Jemu się oddaj, ze wszystkiem do niego się wznieś, wyżej nad tę marną doczesność.

— Gdy ci się uda wydobyć z zamku, poszukaj naszego węglarza Burcharda; u niego i jego poczciwej żony znajdziesz niezawodny przytułek, aż do czasu, gdy się dostaniesz na zamek którego z moich przyjaciół. Gdyby to miało nastąpić; iżby okoliczności kazały ci dłużej, aż do zgonu tam pozostać, o natenczas nie smuć się; możnać to i pod nizką strzechą nierównie być spokojniejszym i szczęśliwszym przy czystem sumieniu, jak w wielkich pałacach. A o cóż nam więcej iść powinno na tym świecie, jak o spokojność z czystego sumienia wypływającą!

— Nie wstydź się pracy; odtłoczki na ręku ciężką pracą wyciśnięte, są doprawdy szanowniejsze, jak pierścienie lśniące drogim kamieniem na próżniaczych palcach. Praca nie będzie ci trudną, bo cię do niej przyzwyczaiła dobra twoja matka. Jak to ci teraz będzie korzystne, żeś nie przywykła do wykwintności w stroju i jadle! Dobrze cię więc twoja kochana matka przysposobiła na wszelkie nieszczęśliwe przypadki.

Z pracowitością połącz pobożność; jesteśmy z duszy i ciała złożeni, gdy ciało jest zatrudnione pracą, niech wtenczas duch do Boga się wznosi. Praca daje ciału chleb, modlitwa utrzymuje ducha. Ciągła pamięć o Bogu, zdolna jest uzacnić i ulżyć wszelką pracę, wrzeciono i sierp właśnie w złoto zamienić.

— Przedewszystkiem staraj się zachować niewinność. Unikaj ludzi, których mowy lub czyny zapłonić zdolne twarz twoją. Ja już nie będę mógł być twoim stróżem, bądźże ty sobie takowym; pamiętaj: że Bóg cię wszędzie widzi, wie nawet twoje myśli; nie czyńże przeto, nawet nie myśl nic złego, bo myśli są ziarnami, z których się rodzi występek.

— O mnie zaś nie martw się; módl się za mnie, a z resztą porucz Bogu moje losy, pewny bowiem jestem, że On mnie nie opuści. Jakkolwiek moje położenie będzie ostre, Bóg może je ułagodzić. Mury i żelazne drzwi nie mogą przeszkodzić Mu przystępu, bo jest wszędzie, i ze mną będzie, ten ojciec dobry. Połóż w Nim twą nadzieję, jak ja w Nim pokładam jedynym moim przyjacielu, który mnie nigdy nie opuści.

— Bóg, jak ufam, wyzwoli mnie z niewoli; a gdyby to miało być Jego przeznaczeniem, iż się kochana córko po raz ostatni widzimy, niech mam to słodkie przekonanie, że moja Róża nie zapomni o przestrogach ojca swego, postępować będzie śladem swej kochanej matki, i stanie się godną swych rodziców i pradziadów.

— Ależ oto złoty łańcuch, którym mnie niegdyś zaszczycił mój cesarz, nie złoto mnie doń wiąże, ale pamiątka, że za dobre czyny jest mi dany, weź go sobie na pamiątkę, ale go nie zbywaj, bo to pamiątka droższa mi nad złoto, a tobie kiedyś może być wielką pomocą; może nim przyjdzie ci kiedyś dowodzić, że pochodzisz z domu Tanenbergów. A choćbyś nie była w tej potrzebie; same obrazy wybite na tym medalionie, godne są uwagi; oto oko Boże w promieniach i napis:

„Jeśli Bóg z nami, a któż będzie przeciwko nam?"

— Nie zapominaj, że Bozkie oko wszędzie nas widzi i Wszechmocny czuwa nad nami, a ci co w obecności Jego żyją wolni od grzechu, niczego obawiać się nie powinni. Na odwrotnej stronie widzisz krzyż otoczony promieńmi i napis:

„W tym znaku zwyciężysz".

— Niech ci to przypomina miłość ukrzyżowanego Jezusa. My ludzie spotykamy w teraźniejszem życiu wiele cierpień i walk, ale zapatrując się na Cierpiącego za nas i z nadzieją w Jego zasługach, męki i śmierci, jesteśmy zdolni Jego wzorem wszystko wycierpieć i zwalczyć. Szczęśliwi są ci, którzy cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich czeka nagroda.

— Podobało się Bogu nawiedzić nas w znacznych cierpieniach; wszakże cóż one są w porównaniu z cierpieniami naszego Zbawiciela, który jak sam zapewnił, tak cierpieć musiał, aby wszedł do wiecznej chwały? Cierpmy Jemu podobnie, On nas wspomoże, żebyśmy kiedyś po tych cierpieniach udział mieli w Jego chwale.

— A teraz, najmilsza córko, uklęknij, żebym ci dał ojcowskie błogosławieństwo.

Róża uklękła, złożyła ręce, schyliła swą głowę, żałosna i przejęta pobożnością, a ojciec położył swą rękę na jej głowie i tak mówił:

— Bóg wszechmocny niech cię błogosławi, a łaska Pana i Zbawiciela naszego, niech będzie z tobą zawsze.

Potok łez oblał twarz Róży, a ojciec przycisnął ją do serca swego, rozczulony sam, dodał:

— Córko moja! ja o tobie nigdy nie zapomnę i w więzieniu modlić się będę za ciebie. Przyrzeczże i ty mi, że się zastosujesz do moich napomnień.

— O drogi ojcze, wszystko chętnie wykonam coś mi zalecił, z jednej rzeczy tylko chciej mnie zwolnić. Ja ciebie nie mogę opuścić. — Nie żądaj po mnie, żebym od ciebie się oddalała! Moje łzy może poruszą tego człowieka, że mi pozwoli pójść z tobą i ciebie w więzieniu pielęgnować.

Chciała więcej mówić, lecz przerwało jej poruszenie w zamku. Kunerych przejrzawszy wszystko co było w zamku, pobrawszy najkosztowniejsze rzeczy, wyznaczywszy mającą pozostać osobę, wydał rozkaz do odjazdu; ze wszystkich kryjówek zbierała się drużyna. Zbrojni wpadli do izby, aby jeńca zabrać i uwieźć; Róża uchwyciła ojca silnie i rzewnie błagała, aby i ją z ojcem wzięto do więzienia, lecz nielitościwie wyrwano ją z objęcia ojcowskiego. Sprowadzono go na podwórze, gdzie na przygotowanym wozie osadzony, był świadkiem, jak kilka wozów napełnionych jego ruchomościami, zaprzężonych jego najpiękniejszymi końmi wraz z nim uprowadzono. Przybył wreszcie Kunerych z zamku, dosiadł swego konia, otoczony swymi radosne wydającymi okrzyki ludźmi, wyruszył ku Fychtenbergowi.

Z góry szło wolno, Róża mogła podążyć, a wcisnąwszy się między wóz, na którym osadzony był jej ojciec, Kunerycha dumnie obok jadącego rzewnie błagała, żeby ją z ojcem osadzić i uwięzić rozkazał; lecz twardego serca ten człowiek, nie miał najmniejszego względu na nieszczęśliwe dziewczę i gdy się ostrożnie spuścili z góry na płaszczyznę, rozkazał pospieszać, puszczono się cwałem, Róża poskoczyła za nimi, ale nie mogąc podołać, straciła z oczu tę hałastrę i znużona upałem, bieżeniem, przemokła dżdżem, padła zemdlona w lesie.

....

ROZDZIAŁ V.

Róża schrania się u węglarza.



óża, która rzadko samotną była, a nigdy za mury zamkowe nie wyszła, przyszedłszy do siebie, widziała się zupełnie opuszczoną pod gołem niebem, w najciemniejszej nocy, przy wichrze i ulewie. Gdzie się tu udać? Długo upatrywała dla siebie miejsca suchego, żeby ochroniona od słoty, doczekała się dnia; nareszcie udała się w bór i schroniła się w zagajeniu młodych świerków, gdzie przynajmniej była zasłonioną od wichru, a w części od słoty. Tu oddała się swemu żalowi, płakała, wyrzekała i modliła się; kamień by się zmiękczył nad jej smutnem położeniem.

Skoro dnieć poczęło, wyszła z swej kryjówki, aby przejrzeć gdzie się znajduje. Spostrzegła wieże ojczystego zamku sterczące wysoko nad borem, łzy się jej rzuciły na ten widok.

— Mój Boże! myślała sobie, jak ja biedną, opuszczoną jestem sierotką! Choćbym się udała do zamku, aby się od jakiego przychylnego dopytać człowieka, gdzie mieszka Burchard, toby pewnie było napróżno; skorośmy się oddalili zamknięto bramę, zwiedziono most; próżnobym żądała przystępu, a może by mnie jeszcze pokrzywdzono, trzeba iść na domysł.

Przyszło jej na myśl, jak jej ojciec nawiasem opowiadał, że węglarza mieszkanie leży w dolinie, między dwoma górami w boru na zachód słońca, od zamku dwie mile odległe. Obraca się w ową stronę, wpatruje się z pagórka, na polu położonego, w wierzch lasu i spostrzega rzeczywiście w odległości dwie znakomite góry drzewem okryte, uważa sobie dobrze tę stronę i postanowiła udać się w miejsce pomiędzy temi położone górami, Bogu się poleciwszy. Ani drogi, ani ścieżki nie spostrzega, drzeć się przeto trzeba było przez bór i zarośla, omijać bagna i parowy. Słońce skłaniało się do zachodu, a nadzieja dojścia do celu podróży niczem nie daje się podsycić. Zemdlona podróżą, upalem, głodem, pragnieniem, upadła właśnie bez sił, lecz i tu nie znalazła pokrzepienia. Po godzinie odpoczynku bowiem, słyszy chrząchanie, ogląda się w stronę, zkąd głos ją dobiega, aż tu w blizkim błocie nurza się wielki dzik; trzeba więc uciekać niż ta złośliwa bestya ją zwietrzy. Bieży dobywając ostatnich sił, nareszcie osłabiona pada obok drzewa gałęzistego, myśląc w ostatnim razie schronić się na nie przed dzikiem. Tu odetchnąwszy cokolwiek klękła i tak się poczęła modlić:

— Boże, Ojcze sierot! oto ja biedna, opuszczona, nieszczęśliwa sierotka błagam Cię pokornie, dopomóż mi Ty, gdyż ja sobie dać rady nie mogę. Wszakżeś powiedział: „wzywaj mnie w potrzebie, ja cię z niej wydźwignę, a ty mnie będziesz wielbić". Niech Ojcze najlepszy, wypełnią się dla mnie te Twoje słowa.

Powstała; była właśnie na wzgórku ogołoconym z drzewa; słońce przed zachodem wydobyło się z za chmury, oświeciło bór, aż w nim spostrzega w niedalekiej odległości wznoszący się dym.

— To pewno Burchard pali węgle! O mój Boże! Tyś ziścił Twoje św. słowa! Niechże Cię za to wszystko wielbi tak czule, jak ja Cię wielbię i wielbić Twoją dobroć będę na wieki.

Zbiera resztę sił swych i bieży w stronę, gdzie wznoszący się słup dymu widziała.

Nie omyliła się; Burchard w owem miejscu założył swoje reje, w około nich bór był już wycięty; siedział na ściętem, grubem drzewie przy tlących się węglach, przypatrując się zachodzącemu słońcu i śpiewając nabożną pieśń; Róża poznała go po głosie i zebrała resztę sił, żeby coprędzej dobiedz pożądanej dziś pierwszej przyjaznej sobie osoby.

Gdy Burchard spostrzegł zdaleka zbliżającą się ku niemu panienkę, zamilkł i myślał sobie: cóż, przebóg, to dziewczę w tych borach szuka? musiało się niechybnie zabłąkać. Lecz wpatrzywszy się lepiej, poznaje dziedziczkę, pospiesza z uszanowaniem ku niej, zdaleka wita ją z uprzejmością i mówi:

— Cóż to przebóg jest? Panna Róża sama w tym ogromnym borze, w tej późnej dnia porze? Wydostała się z murów zamkowych, chciała użyć świeżego powietrza i wolności, odbiegła towarzystwa i zabłąkała się w tych ogromnych borach. No, nie szkodzi kiedyś trafiła do wiernego sługi Burcharda, już się niczego nie bój. Ale jakżeś zmęczona, spłakana, osłabła na siłach, moja droga panieneczko! Ogłodniało biedactwo; a otóż na czas stół mój zastawiony!

Poprowadził ją do owego drzewa, którego pień służył za stół, a na nim rozstawiony: chleb, ser, masło, kruż źródlanej wody; prosił aby się posiliła, dodając:

— Jeszcze dziś trzeba nam będzie wrócić do zamku, boby się ojciec zmartwił za zgubioną córką.

— Ach mój ojciec — i więcej mówić przed łzami nie mogła — Po dobrej chwili gdy się uspokoiła dodała:

— Czy jeszcze nie wiecie tej okropnej historyi? —

— Droga panieneczko, cóż się to stało ojcu, a naszemu drogiemu panu? —

— Ach Boże! — oto Kunerych zeszłej nocy napadł zbrojno zamek, okuł ojca w kajdany, i uwiózł na swój zamek, żeby go uwięzić.

— Ten! — a niech go! — Ale kląć nie powinienem. — Jakto on zdołał wykonać to, tego nie pojmuję, zamek mocno warowny, wczoraj jeszcze widziałem jak dobrze choć małą liczbą ludzi, był zabezpieczony! — Nic, tam musiał być jakiś zdrajca, co Kunerychowi oddał zamek!

Róża siadła na drzewie i opowiedziała mu jak się wszystko stało. — Poczciwy Burchard przerwał jej, dowiedziawszy się, że jest czczą od zeszłego dnia, i podał pomaskę. Jadła i piła z wielkim smakiem, zapewniając że jej jeszcze nigdy tak nie smakowało.

— Wierzę że pannie Róży smakuje ten prosty chlebek, bo jego przyprawą jest głód; przyprawą, jakiej nie znajdziesz w żadnych i najdroższych korzeniach, a przytem najzdrowszą bo

krwi nie rozpala. — Gdy pańskie przyprawy drogo bywają opłacone, nam biednym ludziom daje Opatrzność bezpłatnie, i tak to się z łaski Boga różność stanu wyrównywa."

Posiliwszy się Róża opowiedziała węglarzowi, że ojciec w krytycznem swojem położeniu, zalecił jej, żeby się udała do jego wiernego Burcharda, który ją, za nim inna jaka rada będzie, weźmie w swoją opiekę. To zaufanie wycisnęło czułe łzy z oczu poczciwca. Gdy się uspokoił odrzekł: Nie, tak dobrego pana jak nasz, Bóg nie opuścił, bądź panieneczka tej nadziei, że On go z tej wilczej jamy, tego przeklętego Fychtenberga, wydźwignie! — Zostawmy tę rzecz Bogu, ufni w Jego potężnej pomocy. Co się mnie tyczy, mój pan nie omylił się na mnie, ale boć jabym też być musiał najgorszym z ludzi, gdybym miał mojemu, dobremu panu stać się niewdzięcznym. — Wszakże panieneczka potrzebujesz spoczynku, do mojego pomieszkania jest daleko, dziś tam dojść nie potemu, przyjmiesz spoczynek w owej tam budce. Osłoni ona od wichru i słoty, a posłanie z czystego mchu będzie dosyć miękkie dla znużonego ciała. Mogę panieneczkę zapewnić, że się w takiej budce smaczniej śpi, przy spokojnem sumieniu, jak w puchu, kiedy ten świadek przeszkadza.

Zaprowadził Różę do swej budy, a sam usiadł pod rozłożystym świerkiem i dumał nad zdarzeniem, które dopiero co usłyszał od córki pana swojego. — Najwięcej mu dopiekła ta myśl, że on sam był niejako przyczyną nieszczęścia pańskiego; ostatni bowiem powód do czarnego podstępku Kunerycha dało odbicie zabranego węglarza i ubicie zwierzyny przez tegoż. — Mało sto razy drapał się kłopotliwy po głowie, mało sto razy niecierpliwie pokręcał swą zakurzoną czapką; nareszcie zdjął ją, wziął między złożone swe dłonie, kląkł i gorąco się modlił, żeby Bóg pana jego łaskawie wyswobodzić, a nieszczęśliwe dziecię jego tymczasowo pocieszyć raczył. O śnie nie bylo ani wzmianki, gdy tyczasem Róża swobodnie spała aż długo w dzień, pomimo że wicher całą noc szalenie hulał, a deszcz rzęsisty padał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

KAŚKA I DJABEŁ.

(Dokończenie).

Lecz w sercu księcia nie było tyle otuchy, ile okazywał; słowa gwiaździarza silne na nim zrobiły wrażenie i po raz pierwszy w życiu sumienie się w nim odzywać zaczęło. Dwóch zastępców zawieziono ledwie żywych do domu; żaden już nic w usta nie wziął, a nareszcie zebrali wszystko co mieli i pojechali do swoich zamków warownych, w których się szczelnie pozamykali, by djabeł nie znalazł do nich przystępu. Książę zaś upamiętawszy się, wszedł na dobrą drogę i żyjąc skromnie i spokojnie, sam krajem zarządzać zaczął i pocieszał się nadzieją, że przepowiedziany mu los odwrócić potrafi.

O tem wszystkiem owczarek nic nie wiedział. Pasąc codziennie swoją trzodę, nie troszczył się o to, co się w świecie działo. W tem dnia jednego stanął djabeł przed nim i rzekł:

— Przyszedłem ci się wywdzięczyć za przysługę, którą mi wyświadczyłeś. Mam byłych zastępców naszego księcia do piekła odstawić, za to, że mu źle doradzali i ubogich okradali. Udaj się przed tym a tym dniem do zamku jednego z tych panów. Znajdziesz tam wiele ludu zgromadzonego i usłyszysz w zamku krzyk,

poczem słudzy bramę otworzą, przez którą ja pana poniosę. Wtenczas ty przystąp do mnie i mów:

— Umykaj, bo źle z tobą będzie! Ja cię usłucham i odejdę, a ty zażądaj od pana dwa wory złota. Gdyby ci ich dać nie chciał, to pogroź mu, że mnie zawołasz. Potem się udaj do drugiego zamku i zrobiwszy tam tak samo, takiej samej zażądaj zapłaty. Z pieniędzmi zaś rządź się dobrze i na dobre tylko cele ich używaj. Gdy księżyc zajaśnieje w pełni, zabrać muszę i samego księcia, lecz ci nie radzę chcieć go uwolnić; musiałbyś bowiem własną skórą za to odpowiedzieć. — To rzekłszy, zniknął.

Owczarek wbił sobie w pamięć każde słowo, podziękował za służbę gdy kwartał przeminął i poszedł do zamku, w którym jeden z owych dwóch zastępców książęcych mieszkał, a przybył tam w samą porę. Tłum ludu stojący przed zamkiem oczekiwał, rychło djabeł pana zabierze. W tem rozlegać się zaczyna w zamku krzyk rozpaczliwy; brama się otwiera, a djabeł wlecze pana bladego i z przestrachu już prawie umierającego. Owczarek występuje, chwyta pana za rękę i odpychając djabła, mówi:

— Umykaj, bo źle z tobą będzie!

Djabeł znika natychmiast, a pan niesłychanie uradowany, całuje owczarka w ręce i pyta go, czego żąda w nagrodę. Gdy owczarek powiedział, że dwa wory złota, zaraz mu je dać kazał.

Zadowolniony owczarek udał się do drugiego zamku, gdzie równie szczęśliwie jak w pierwszym mu się powiodło.

Książę dopytując się nieustannie, co się z zastępcami jego dzieje, prędko o owczarku się dowiedział. Posłał przeto wóz z zaprzęgiem, a gdy owczarek przyjechał, usilnie go prosił, żeby się nad nim zmiłował i wybawił go ze szpon djabelskich.

— Mój panie i władzco, — odpowiedział owczarek, — przyobiecywać wam tego nie mogę, bo tu o moją własną idzie skórę, a wy zbyt wielkim jesteście grzesznikiem! Lecz gdybyście poprawić się chcieli i tak sprawiedliwie, łaskawie i mądrze panować, jak przyzwoity książę powinien, to starałbym się o wybawienie wasze, chociażby mi już nawet wypadło za was pójść do piekła.

Książę przyobiecał zupełną poprawę, a owczarek poszedł z przyrzeczeniem, że na dzień oznaczony powróci.

W strachu i bojaźni oczekiwano pełni. O ile lud dawniej źle życzył książęciu, o tyle go teraz żałował. Od czasu upamiętania się jego, nie można sobie było życzyć lepszego księcia. Lecz czas przemija, tak w smutku jak w rozkoszy! Ani się przeto spodział książę, gdy już nadszedł ów dzień, mający go rozłączyć ze wszystkiem, co mu było miłe. Czarno ubrany, jak do grobu, siedział ów mocarz i oczekiwał owczarka, lub djabła. W tem otwarła się brama i djabeł stanął przed nim.

— Przygotuj się, bo godzina twoja wybiła! Przyszedłem po ciebie.

Nie mówiąc ani słowa, podniósł się książę i poszedł za djabłem na podwórze, gdzie pełno było ludu. Tu owczarek całkiem zgrzany, ciśnie się przez tłum i przypada do djabła, wołając:

— Umykaj, umykaj, bo źle z tobą będzie!

— Jakże śmiesz mnie zatrzymywać? — szepnął djabeł. Czy nie pamiętasz com ci mówił?

— Nie bądź głupi! — szepnął owczarek, — mnie nie o księcia idzie, lecz o ciebie! Kaśka żyje i o ciebie się pyta.

Skoro djabeł usłyszał o Kaśce, zniknął zaraz, jakby go zdmuchnął i dał pokój księciu. Owczarek wyśmiał go w duszy i cieszył się, że księcia tym sposobem wybawił. Wywdzięczając mu się za to, książę zrobił go najpierwszym kawalerem dworu swego i kochał jak własnego brata. I dobrze zrobił, bo owczarek był mu wiernym doradzcą i poczciwym sługą. Z owych czterech worów złota nie zatrzymał on sobie ani szeląga, lecz rozdał je tym, z których zastępcy księcia byli je zdarli.

(Koniec.)

OJCZE NASZ.

POWIEŚĆ NAPISANA PRZEZ F. S.

(Ciąg dalszy.)

Andrzejowa nie mogła już wiele mówić, bo oddech był zbyt słaby i krótki, a z wycieńczonej piersi inny już prawie głos nie wychodził, tylko głuchy kaszel, po którym zawsze śmiertelne następowało znużenie.

Tak tedy nie zdołała wiele do niego mówić słowami, ale tylko zwiędłą swą dłoń kładła na jego rękę i przemawiała do niego wymownym wzrokiem, który u suchotników powoli gasnących jaśnieje pozagrobowym duchowym blaskiem.

— Wszystko poszło inaczej, jak sobie wystawiałem, — rzekł pewnego wieczora Andrzej, gdy żonie podał lekarstwo i poprawił jej poduszki pod głową. — Myślałem, że będę bogatym i największe w całej okolicy mieć będę znaczenie a tymczasem gospodarstwo zmarnowane, a każda cegiełka, każda dachówka zadłużona i bieda i nędza zaglądają drzwiami i oknami. Myślałem, że będę szczęśliwym z żoną i dziećmi, a tu jedno po drugiem mi umiera, i ja sam pozostaję, jak pień odarty z liści i gałęzi, skazany na uschnięcie! Kobieto! — zawołał namiętnie, — jeżeli ten jeszcze cios mnie spotka, że ciebie wyniosą na cmentarz, natenczas niedbam o życie! Bo cóż mi pozostanie jeszcze na świecie? Mam się troszczyć, mozolić i sił resztę stargać, aby drudzy tuczyli się owocem krwawej mej pracy, a dla mnie nigdzie nie ma być pociechy, chociażby najmniejszej? Ach, jestem blizkim rozpaczy! A jak mię, Odrzyskórskiego, wszyscy nienawidzą, — ciągnął dalej przytłumionym głosem, — jak mną gardzą i na mnie zwalają winę wszystkiego złego, które się we wsi zagnieździło! Palcami mię wytykają, schodzą mi z drogi, przeklinają mnie! Kobieto, tylko pamięć na ciebie wstrzymywała mię, że takiemu szydercy tą oto pięścią czaszki nie zgruchotałem. Ale, — mruknął groźnie, — jeszcze przyjdzie czas odwetu!

Andrzejowa spojrzała na niego błagająco, i wskazała ręką ku niebu, aby tam szukał pociechy i lekarstwa na rany serca; ale on potrząsł głową — o tem nic nie chciał wiedzieć. Raz przy takiej sposobności posunął się nawet tak daleko, że zawołał, iż z Panem Bogiem już się skwitował i nie dba o Niego, bo tylko Pan Bóg był winien całemu jego nieszczęściu, które od owego pierunu, co cały jego folwark w perzynę zamienił, wzięło swój początek! —

W noc noworoczną umarła Andrzejowa.

— Wola Boża! — były ostatnie jej słowa, potem zamknęła oczy na zawsze, i przestało bić to serce szlachetne, które dawno już pękało z żalu.

Przez całą noc klęczał Andrzej u łoża zmarłej; krzyczał płakał i narzekał, ale modlitwy nie miał na ustach.

Nazajutrz przyszli sąsiedzi i przez cały dzień schodzili się ludzie, aby się pomodlić za duszę tej zacnej kobiety, a Andrzej zamknął się w swej komorze i przez cały dzień się nie pokazał.

Nad grobem przemówił ksiądz proboszcz od serca. Wziąwszy za temat ostatnie słowa nieboszczycy: „Wola Boża!" wykazał, jak to w tem kornem poddaniu się woli Bożej nieskończone szczęście dla człowieka zawarte. Tylko gdy człowiek z tem się zgadza, co Bóg chce i jak Bóg chce, może mieć nadzieję, że bez goryczy i rozpaczy i czystem sumieniem przejdzie po cierpieniach i zawodach tego żywota. Wielu tego nie chciało dotychczas rozumieć, i w zatwardziałym uporze opierając się Bogu, pędzili za własną wolą na przepaść zguby; ale i oni na sobie doświadczą tego, że i najwynioślejszy

człowiek musi tak się ukorzyć, jak Bóg chce, musi uchylić się przed wolą Bożą.

Nieboszczyca w tych słowach wielką znajdowała pociechę, która tyle cierpień jej słodziła, tyle ran jej zagoiła. W końcu wezwał obecnych, aby naśladowali ten przykład cnotliwej nieboszczycy, aby żyli i cierpieli według woli Bożej.

Andrzej był ostatnim, który odszedł od grobu. Długo nad nim klęczał; zdawało się, jakoby cichą z nieboszczycą prowadził rozmowę; w końcu głośnym wybuchnął płaczem.

Łzy — to rosa ożeźwiająca spiekłe od cierpień serce, to zaranie poddania się woli Bożej.

Gdy wyszedł z cmentarza, napotkał ośmdziesięcioletnią Kałubinę.

— Żal mię was Andrzeju, — rzekła drżącym głosem. — Straciliscie kobietę, co was tak kochała! Wielki to dla was cios! Trzymajcie się tylko tego, co powiedział ksiądz proboszcz, i zawsze zgadzajcie się z wolą Bożą! Tak, tak, nie wie, co to krzyżyki, kto się umie zdawać na wolą Bożą, — powtarzała odchodząc zwolna ku wsi.

Andrzej nic nie odpowiedział, tylko smutny do wsi powrócił.

V.

CHLEBA NASZEGO POWSZEDNIEGO DAJ NAM DZISIAJ!

Nadeszły dni krzyżowe.

Wiosna zielonym kobiercem okryła ziemię, ozdobiła łany kwiatami, a białym i różowym puchem obsypała drzewa. Pod sklepieniem pogodnego nieba brzmiały śpiewy skowronka, a różnobarwne motylki igrały wśród kwiatów wesoło.

A tam na polach wśród dorastającego żyta i zieleniejącej pszenicy posuwa się długi orszak z krzyżem i chorągwiami na czele, wśród śpiewu litanii do Wszystkich Świętych — to procesya.

Przodem idzie wesoła dziatwa, głośno wtorując śpiewowi; za nią postępują starsi, powaga na obliczu wskazuje, że wiedzą, o co proszą, zwłaszcza, że spoglądają w prawo i lewo, i czytają na swych polach, jaki plon prawdopodobnie uwieńczy ich pracę; pomiędzy nimi postępuje proboszcz za roztargnionemi chłopcami, niosącymi krzyż i dwie latarnie, a grono skupionych niewiast z różańcem w ręku zamyka orszak.

Teraz procesya skręca z polnej dróżki na trakt główny — na przeciwko niej idzie mężczyzna, w towarzystwie wielkiego psa podwórzowego.

To Andrzej Marciniak. On jedyny gospodarz w całej parafii niema czasu do nabożeństwa. Zresztą nie potrzebuje on modlić się o błogosławieństwo Boże i chleb powszedni! Teraz sam dobrze dojrzał gospodarstwa, mierzwy nawiózł dużo, zasiał starannie, a nadto cały plon zabezpieczył w towarzystwie od gradobicia.

Pod takimi warunkami — myślał sobie — byłoby rzeczą zbyteczną modlić się jeszcze o ten chleb powszedni, na który tak uczciwie zapracował i który tak mądrze zabezpieczył.

Zdjąwszy kapelusz i trzymając go z boku przed twarzą, stara się jak najspieszniej przemknąć koło modlących się wiernych — czuje on bardzo dobrze, że wszyscy patrzą na niego z oburzeniem, to też niema odwagi spojrzeć na kogokolwiek.

Wreszcie minął procesyą, minął i staruszki ze szpitala, które powoli za wszystkiemi się wlokły.

Teraz odetchnął swobodnie, wsadził kapelusz na bakier i probuje wesołą zagwizdać piosnkę — ale zdaje się mu, że gardło mu zasznurowane. Zresztą przeszkadzał mu i śpiew litanii niedalekiej jeszcze procesyi i pienia skowronka.

Wydobył więc fajeczkę, nałożył i zapalił. Przez pewien czas szedł jeszcze traktem nad jeziorem, potem skręcił w prawo, gdzie na błotnistym gruncie karłowate tylko wyrosły brzoski i krzaki. Ziemia tu czarna, poprzerywana rowami i błotami; a nawet uśmiech słonka wiosennego nie zdołał ozdobić i urozmaicić tej smutnej okolicy.

Tam dalej za małym laskiem brzozowym wznosi się nowy dom mieszkalny. Czerwone cegły murów nie są jeszcze obrzucone wapnem, górna część jeszcze nie dokończona, dach na pół pokryty dachówkami, na pół deskami. Okna brudne, potłuczone i zalepione papierem; przez otwarte drzwi, zbite z surowych niepomalowanych desek, dochodzi wrzask dzieci, krzyk ko-

biety i raz po raz klątwy grubego mężkiego głosu.

Przed domem leżą na kupie śmieci, próżne sądki od piwa.

Jestto jeden z błogich owoców kultury nonowoczesnej: jedna z licznych karczm i szynkowni które w ostatnich latach powstały, jak grzyby po deszczu, i popierając lenistwo i pijaństwo, przyczyniają się do przepełnienia więzień i śpitalów.

Andrzej wszedł do brudnej izby. Była ona pusta; tylko za stołem chrapał pijany włóczęga, obok niego próżny stał kieliszek.

Nieznośny zaduch zapełniał izbę. Andrzej pobiegł do okna, aby je otworzyć — ale okno wisi tylko na jednej zawiasie i gotowe się oderwać, więc trzeba je znowu zamknąć. Wreszcie Marciniak zniecierpliwiony zagwizdnął.

— Kto tam? — odezwał się głos z kuchni

— Czy gospodarz jest w domu?

— Jest w stajni.

— Powiedzcie mu że Marciniak przyszedł z interesem.

Po małej chwili usłyszał Andrzej w sieni ciche szepty; niezadługo potem wszedł gospodarz. Młody ten człowiek, nieumyty i niewyczesany, w brudnej koszuli i szarawarach, wstrętne sprawiał wrażenie; twarz nadęta, pokryta rozczochraną brodą, nosiła widoczne ślady tego zdziczenia, które jest następstwem opilstwa.

Trzymając ręce w kieszeni, stanął przed Andrzejem i spojrzał na niego błędnym wzrokiem.

— Czego chcesz? — zapytał gburowato.

— Moich pieniędzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD CZASU ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

(Ciąg dalszy.)

Szałasy (wigwams) Indyan składały się ze słupów pokrytych matami, skórami i korą, a całe urządzenie domowe było bardzo pojedyńczem. Zupełnie pojedyńczemi były także narzędzia ich do pracy; były bowiem zrobione z kamieni, skorupek i kości; za pomocą ich przyrządzano pokarm, szyto ubiory, budowano mieszkania i uprawiano rolę. Pokarm ich składał się z kilku warzyw i mięsa zwierzyny (jeleni, bawołów i niedźwiedzi), które skwarzono nad ogniem, gotowano w wodzie, lub pieczono pomiędzy rozpalonymi kamieniami — spożywano je zawsze bez soli. Ubiór ich składał się latem z lekkiej zasłony, zawieszonej na biodrach; zimą okrywali się skórami dzikich zwierząt. Twarze ich były taetowane (taetować znaczy: przyozdobić ciało wykalanemi na skórze obrazkami) i pomalowane jaskrawemi kolorami.

Pisma nie mieli Indyanie żadnego, oprócz prostych hieroglifów czyli pisma obrazkowego. Dzieje plemion, sprawozdania o wojnach, traktaty i czyny bohaterów podawał ojciec starannie synowi, a zwłaszcza naczelnik naczelnikowi.

Duma osobista i narodowa była jedną z główniejszych oznak Indyan. Dla tego też prowadzili często wojny, aby się odznaczyć. Zwyczajnie wychodzili na wyprawy w oddziałach liczących 40 wojowników, a czasem i w mniejszych. Broń ich składała się z łuków i strzał, toporków (tomahawks) z kamieni i noża z kości, którym nieprzyjaciołom zwyciężonym obcinali skórę z czaszki (scalp) a następnie z głowy zdzierali. Skoro się zapoznali z Europejczykami, postarali się o noże i toporki żelazne. Byli przebiegłymi w wojnie i rzadko kiedy zaczepiali nieprzyjaciela na otwartem polu. Za-

sadzki i napaści niespodziane były u nich w zwyczaju. Jeńców wojennych męczyli a skóry z czaszek nieprzyjaciół były oznakami ich zwycięztwa. Pokój zawierano w radzie Sachemów (Sachem był naczelnikiem cywilnym) a traktat pokoju zawierano przy paleniu tytoniu z fajki pokojowej (Calumet).

Indyanie tak samo jak i niektóre narody wschodnie, uważali niewiasty za istoty podrzędne. Były mniej więcej niewolnicami; nie było im wolno brać udziału w zabawie mężczyzn i mogły się tylko wraz z dziećmi przypatrywać, gdy mężczyzni tańczyli i w śpiewie wychwalali czyny swych przodków, jako też i własne. Małżeństwo było u nich tymczasowym tylko kontraktem — rodzajem kupna; — ojciec otrzymał od zięcia podarunki za córkę, która zwyczajnie po kilku miesiącach stała się prostą służącą. Mężczyzni mieli prawo pojąć niewiastę i ją odpędzić; pomimo, że zwyczajnie nie praktykowano wielożeństwa (z wyjątkiem naczelników) to jednak każdy Indyanin miał prawo posiadać tyle żon, ile ich mógł kupić lub wyżywić. Mężczyzna miał prawo zabić żonę niewierną.

W wielkiem poszanowaniu były u Indyan cmentarze. Od zimnej północy aż do gorącego południa znano ten sam sposób grzebania umarłych i odprawiano te same ceremonie. Umarłych swoich, obwiniętych w skóry zwierząt, leżących na drągach, kładli w miałkie doły, lub nadali im postawę siedzącą, czasem też umieścili na wysokich rusztowaniach, tak, aby dzikie zwierzęta nie miały do nich przystępu. Kładziono przy nich broń, naczynia, farbę i żywność dla użytku podczas długiej podróży do krainy duchów. Z tego zwyczaju możemy poznać, że i Indyanie wierzyli w śmiertelność duszy, wprawdzie nie czysto duchową jak chrześcianie, lecz pod kształtem podwójnym: pół materyalnym, pół duchowym. Ponad grobami usypywali wielkie mogiły, na których sadzili piękne dzikie kwiaty. Plemię Algonquinów układało przez kilka nocy nad grobem stosy drzewa i paliło je, aby dusza widziała, jakiego honoru ciało doznaje, i z tego się cieszyła. Krewni płakali i lamentowali podczas pogrzebu i smucili się przez długi czas.

Religia indyańska była bardzo pojedyńczą. Dualizm — podział bóztwa na dwie części — jest najstarszą nauką wiary indyańskiej, jako i też wiary wszystkich dawniejszych narodów wschodnich. Wierzyli w istnienie dwóch wielkich duchów: jednego potężniejszego, t.j. ducha dobrego i drugiego mniej potężnego, ducha złego. Czcili także słońce, księżyc, gwiazdy, ogień, wodę, grzmot, wiatr i w ogóle wszystko, czego nie mogli pojąć. Pod różnemi postaciami czcili także niewidzialnego wielkiego mistrza życia, którego nazwali Manitou i uważali go także za ducha opiekuńczego. Mieli także niewyraźne wyobrażenie o pokucie za grzechy i w tym celu czynili z wielką uroczystością ofiary. Posiadali także ciemne podanie o stworzeniu świata i o wielkim potopie, który zalał całą ziemię. Każde plemię miało zresztą osobne tradycye i podania o swem pochodzeniu, lecz wszystkie zgadzały się na to, że przodkowie ich pochodzili z północy.

Forma rządu indyańskiego nie była regularną, tylko mięszaniną rządu patryarchalnego z despotyzmem. Opinia publiczna i dawne zwyczaje były jedynemi prawami Indyan. Moc polityczną posiadał Sachem lub naczelnik, który był czasem księciem dziedzicznym, lecz po większej części zasłużył sobie na naczelnictwo przez bohaterskie czyny lub przez wymowę. Póki posiadał moc naczelnika, póty dowodził wyprawami. Opinia publiczna wstrzymywała go, wznosiła do szczytu potęgi i strącała go z niego. Naczelnictwo było często dziedzicznem, jak już powiedzieliśmy, lecz następcą nie był własny syn, lecz syn siostry; zwyczaj ten istniał po całej Ameryce.

Skreśliliśmy tu wkrótce ogólny charakter mieszkańców Stanów Zjednoczonych w czasie, gdy Europejczycy do nich przybyli. Pomimo, iż co do oświaty i wykształcenia pozostali daleko po za mieszkańcami Meksyku i południowej Ameryki i nawet po za ludźmi, którzy przed nimi Amerykę zamieszkiwali, posiadali natomiast więcej męztwa i siły, jak południowcy, których Hiszpanie znaleźli. Należeli oni do plemion koczujących i wolni jak ptacy w powietrzu, nie dbając o bogactwa ziemi, którą deptali nogami, nie troszcząc się o nic, przebiegali niezmierne puszcze żyznego, nowego świata. Wielki ogród ziemi zachodniej potrzebował rolników — i przybyli biali. Ci zmienili zupełnie stan ziemi i mieszkańców; okazało się światło cywilizacyi, a pilność i skrzętność wydobywały i wydobywają z ziemi niezmierne bogactwa, podczas gdy liczba prawdziwych Amerykanów topnieje jak śnieg pod promieniami słońca. Niech przeżyje jeszcze kilka pokoleń, a na świecie nie będzie ani jednego zastępcy Indyan północno-amerykańskich.

ROZDZIAŁ II.

Plemiona i szczepy indyańskie.

Algonquiny. Pierwsi Indyanie, których Francuzi w Canadzie spotkali, przebywali w okolicy, gdzie teraz leży miasto Quebec, a awanturnicy nazwali ich „mieszkańcami gór" lub też „Indyanami gór", ponieważ na zachód od miejsca ich pobytu znajdowało się długie pasmo gór. Idąc za biegiem rzeki św. Wawrzyńca w pobliżu rzeki Ottawa, znaleźli inne plemię, mówiące zupełnie innym językiem; nazwali ich Algonquins, a nazwę tę dano później wszystkim szczepom mieszka-

jącym na północ i południe jeziór Ontario i Erie, a mówiącym podobnemi do siebie narzeczami. Indyanie ci zamieszkiwali dzisiejszą Canadę, Nową Anglię, część stanów New York i Pennsylvania, stany New Jersey, Delaware, Maryland, Virginię, wschodnią część północnej Caroliny, powyżej przylądka Fear, wielką część dzisiejszego Kentucky i Tennessee i wszystkie północne i zachodnie części stanów położonych na wschód rzeki Mississippi.

Naród Algonquinów składał się z kilkunastu potężnych szczepów, z których najgłówniejszemi były: Knisteneaux i Athapaskas'y na dalekiej północy, Ottawas'y, Chippewas'y, Sacs, Foxes,(Lisy), Menomoni, Miamies'y, Pankeshaw'y, Potto watomianie, Kickapoos'y, Illinois'y, Shawnees'y, Powhatanie, Corees'y, Nanticokes'y, Lenni-Lenapes'y czyli Delawarzy, Moheganie, Indyanie nowo-angielscy i Abenakes'y. Oprócz tego należały do Alongquinsów pomniejsze niezależne szczepy, jak n. p. Susquehannocks'y nad rzeką Susquehanna w Pennsylvanii. Mannahoacks'y mieszkający w kraju górzystym pomiędzy rzekami York i Potomac i Monocanie przebywający nad źródłem rzeki James w Virginii.

Potomków Knisteneaux'ów można i teraz jeszcze znaleźć w krainie rozciągającej się od półwyspu Labrador aż do gór skalistych. Są zaciętymi nieprzyjaciołmi Eskimosów, którzy na północ od nich zamieszkują okolice biegunowe. Athapaskas'y zamieszkują przestrzeń od rzeki Churchhill i zatoki Hudson, aż na sto mil od wybrzeża oceanu spokojnego. I ci są nieprzyjaciołmi Eskimosów. Anglicy roszczą sobie prawo do kraju przez nich zamieszkanego. Ottawas'y mieszkali dawniej na stronie zachodniej jeziora Huron, lecz w chwili, gdy Francuzi przybyli do kraju, osiedlili się nad rzeką Ottawa. Rościli sobie zwierzchnictwo nad całą okolicą i pobierali podatki od tych, którzy się udawali do krainy Huronów lub ztamtąd powracali. Pomagali tym ostatnim w walce ich z „pięciu narodami", w której utracili wielką część wojowników, podczas gdy Huroni zostali prawie zupełnie zniszczeni. Pozostali Huroni połączywszy się z częścią Ottawas'ów i Chippewas'ów powrócili (1680) do dawnej swej dziedziny w północnej części półwyspu Michigan. Pod słynnym swym naczelnikiem Pontiac, sprzymierzyli się z innymi szczepami w celu zupełnego wyniszczenia białoskórców (1763). W lecie tego roku zabrali prawie wszystkie warownie i stacye handlowe Anglików, wyjąwszy Detroit, Niagara i Fort Pitt. W roku 1764—1765 została konfederacya ich rozwiązaną a Pontiac udał się do Illinois'ów, gdzie następnie został zamordowany. Zamordowanie to podburzyło plemiona przyjazne Pontiac'owi, które Illinoisom wytoczyły wojnę i ich zupełnie prawie wycięły. Niektórzy z potomków Illinois'ów znajdują się teraz jeszcze w Canadzie.

Potężne kiedyś szczepy Chippewas'ów i Pottowatomian'ów były ściśle złączone mową i przyjaźnią. Pierwsi mieszkali na południowem wybrzeżu jeziora wyższego (Lake Superior), drudzy zaś na wyspach i zachodniem wybrzeżu zatoki zielonej (Green Bay), tj. w chwili, gdy Francuzi w te strony przybyli (1661). Później przesiedlili się nad południowe wybrzeże jeziora Michigan (1701) gdzie pozostali póty, póki ich na mocy traktatu nie przesiedlono nad rzekę Osage, na zachód od rzeki Missouri. Są obecnie najliczniejszym szczepem ze wszystkich, które pozostały z wielkiego plemiona Algonquin'ów.

Sacs i Foxes (lisy) tworzą właściwie jeden tylko szczep i mieszkali za czasów pierwszego okazania się Francuzów (1680) na południe od zatoki Green Bay. W r. 1712 napadli na załogę francuzką w Detroit, składającą się z 20 tylko ludzi, zostali jednak za pomocą Ottawas'ów pobici i prawie zupełnie zniszczeni. W roku 1722 połączyli się z Kickapoos'ami w celu wypędzenia Illinois'ów, mieszkających nad rzeką tegoż samego nazwiska; ci ostatni uciekli do Francuzów, a Kickapoos'y pozostali w kraju zdobytym aż do r. 1819, kiedy się udali za brzeg zachodni rzeki Mississippi w pobliżu Fort Leavenworth. Sacs i Lisy sprzedali swój kraj Stanom Zjednoczonym w r. 1830. Naczelnik Black Hawk (czarny jastrząb), który Anglikom pomagał w drugiej wojnie ze Stanami Zjednoczonemi, nie chciał się na to zgodzić i rozpoczął wojnę w r 1832, w której został pobity i z wielu wojownikami do niewoli wzięty.

Menomonów znaleźli Francuzi w r. 1699 nad brzegami zatoki Green Bay i dzisiaj można tam jeszcze znaleźć jednego lub drugiego z ich potomków, podczas gdy sąsiedzi ich południowi Winnebagoes'y udali się po za rzekę Mississippi.

Miamies'y i Pankeshaws'y mieszkali w tej części teraźniejszego stanu Ohio, która leży pomiędzy jeziorem Erie, rzeką Maumee i pagórkami, z których wypływa rzeka Wabash. Anglicy nazywali ich „Twightwees". Byli zawsze zaciętymi nieprzyjaciołmi Stanów Zjednoczonych, następnie zaś odstąpili im kraj przez nich zamieszkany i udali się po za rzekę Mississippi.

Illinois'y liczyli 12,000 głów, gdy Francuzi przybyli; mieszkali nad rzeką Illinois i składali się z 4 pomniejszych szczepów: Kaskuskias'ów, Cahokias'ów, Tamaronas'ów i Peorias'ów. Kłótnie wewnętrzne jako i napaści szczepów sąsiednich zniszczyły ich tak, że w r. 1818 liczyli tylko 300 głów i odstąpili kraj swój Stanom Zjednoczonym. Szczep ten wygasł już zupełnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)